№ 3.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 8. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Teraźniejszy głód w Irlandyi, a po bardzo wielu krajach niedostatek żywności zwracają uwagę pisarzy na pytania i socyalne i ekonomiczne. Głody bywały od wieków i bywały daleko częstsze jak się zdarzają teraz, to jest prawda. Atoli głody dawniéj choć były okropne, ale nie zagrażały takiemi wielkiemi skutkami. Ludzie nie umieli dochodzić przyczyn i dla tego przypisywali je prostym rozporządzeniom własności. Ci co z głodu umierali, nieumieli myśleć — umieli zaś modlić się i poświęcać. Ci którzy stali wyżéj, nieczuli głodu, myśleli o interesach swéj klassy, ubolewali nad śmiercią drugich, ale nie upatrywali ziemskich przyczyn głodu. Teraz są stosunki inne, śmierć z głodu i bieda rozdraźnia biednych przeciw bogatym, klassa oświecona pyta się o ogół; dosyć że ludzie umierają, a już nieprzychodzi nikomu badać, czy to księża, czy szlachta, czy mieszczanie, czy chłopi, czy wyrobnicy. Wielu mówi u nas, głód się pokazać nie może, bo ziemia nasza urodzajna. Nieprawda to wcale; niemasz kraju urodzajniejszego nad Irlandyą, a przecież co dzień napotykają się na drodze trupy ludzi wynędzniałych. Co więcéj, Irlandya miała jeszcze sprzęt zboża nienajgorszy, a przecież głód ponosi. Głody nie od tego zależą czy jest w kraju zboże, czy go niema, ale od tego, kto jest tak bogaty, iż może sobie kupić zboża lub chleba. Cóż wyrobnikowi znaczy, że kupiec ma pełne śpichlerze, kiedy te śpichlerze są zamknięte i otwierają się tylko temu, co z pieniędzmi przychodzi, a pieniądze mało kto posiada. W Irlandyi panem ziemi Anglik, wynosi ziarno do Anglii: wyznacza Irlandczykowi kawałek tylko ziemi na kartofle i za to wyznaczenie odbiera mu jeszcze połowę sprzętu, który także do Anglii wynosi. Obumarła i zgniła kartoflana scheda Irlandczyków, to muszą za nią umierać i gnić Irlandczykowie. W znacznéj to części Europy człowiek co na chleb pracuje, chleba niejada. Niewinien temu nikt pojedyńczo, nie winien właściciel dóbr, nie winien kupiec co zbożem handluje, nie winien urzędnik, ale winno całe społeczeństwo. My, co nam dobrze na tym świecie, którzy łatwo możemy głód zaspokoić, od dżdży, burzy i zimna w ciepłym pokoju się ubezpieczać, w lecie w lekkich sukniach, a zimą we włosistych futrach chodzić, wyznajmy, że ludzie co jedynie na chleb od wschodu do zachodu, pracują a chleba nie jedzą, są przez społeczeństwo najwyraźniéj na męczarnią Tantala wskazani; z dostatkiem tylko do czynienia mają, a przecież głodu, pragnienia zaspakajać nie są w stanie. Jak temu zapobiedz, każdy myśleć powinien, a jak wszyscy myśleć będą niewątpliwie zapobiegną.

Chrześciaństwo nie starzeje się, ani się téż nie odmładza, ale coraz szersze zajmuje pole; dawniéj wpajało ono w pojedyńczego człowieka tylko poddanie się woli Opatrzności, czyli tak zwaną rezygnacyą, dziś ma tę samą opiekę nad pojedyńczym, ale się rozwija szerzéj i powiada do ogółu, pamiętajcie, aby pomiędzy wami nikt niebył, któryby z waszéj niechęci, z waszego niedbalstwa, z waszego przywiązania do zbytków cierpiał. Wiedziało to od wieków chrześciaństwo, ale że go nikt nie rozumiał, dziś dopiero z tém odzywać się może. Żyjemy my w wielkim czasie i w bardziéj chrześciańskim

niż wszystkie przeszłe: dawniéj był we wszystkim połysk chrześciański, ale po sercach gnieździła się pogańszczyzna, dziś straciła powierzchowność, ale zyskały głębie serca. Stąd głody dawniéj mogły uchodzić za nieszczęścia, dzisiaj muszą być uważane za grzechy całego społeczeństwa; wprawdzie nie tak ze złego zamiaru, jak z niedbalstwa wynikające. — Społeczeństwo może ich nie popełnia, ale zawsze winno, że im się nie starało zapobiedz. Jak się za staraniem wszystkich pojęcia społeczne wyjaśnią, głody jak wojny ustać muszą.

Rozmyślanie nad położeniem tamy głodom w najodleglejszych i pierwotnych ich źródłach jest zagadnieniem dopiero naszego czasu, dla tego myślimy o środkach zaradczych częstokroć w niedoświadczony i dziecinny jeszcze sposób. Gdzie się pokazuje niedostatek, tam powstają krzyki na kupców, że mają pełne śpichlerze, a drogo sprzedają. W niektórych miejscach nakazują nawet taniéj sprzedawać. Jakże może tanio sprzedawać kto sam drogo kupił i kto sam trudniąc się skupowaniem, musiał jeść, żyć, i to z wielu ludźmi, co mu to zboże przewozili, składali, na skład przyjmowali i t. d. Niechżeby sobie każdy sto i tysiąc mil po zboże jeździł, względem małéj ilości do obcych krajów pisywał, koszta korrespondencyjne oddzielnie ponosił: czyżby mu to zboże trzy i cztery razy więcéj kosztów nie zrządziło. Trzeba więc kupca zbożowego uważać za pełnomocnika narodu, który w innym kraju ma staranie, aby jego naród głodu nie cierpiał. Jeżeli go zaś władza zacznie krępować przepisami, a lud potwarzami i pogróżkami niepokoić, jeżeli uczciwy porzuci swoje zatrudnienie i obróci się gdzieindziéj, to w takim razie może się tylko ten skutek pokazać, że ludzie mało robiący sobie z niepokojenia i dobréj sławy, sami przy handlu zbożowym pozostaną. Niknie wtedy uczucie litości nad kupującym, szerzy się dopiero na dobre zdzierstwo przy sprzedaży i głód wzrasta. Niedostatek żywności w kraju, jest to rana niezmiernie delikatna, którą trzeba uczuciami braterskiemi łagodzić, ale nie siłą pognębiać, bo przez draźnienie rozognia się i w śmiertelną zamienia. Głód tegoroczny w Irlandyi wywrze ogromne skutki na pojęcia rządowe, nie dla tego żeby był pierwszy, ale dla tego, że pierwszy zajmuje myśl wieku i światłych ludzi.

Panna respektowa.

Powiastka z domowego życia.

przez **L. SIEMIEŃSKIEGO.**

(Ciąg dalszy.)

V.

Tak stały rzeczy przez całą wiosnę i lato, aż pewnego dnia podczaszyna długą miała rozmowę ze synem. Odtąd często przebijała jakaś tajemnica w ich słowach, i zawsze coś niezrozumiałego dla Magdusi. Wkrótce potém rzekła podczaszyna do niéj: moje dziecko, niebawem zobaczysz rodziców; pojedziemy na jesień do Brzozowa.

Brzozów był to staroświecki dworzec o małe ćwierć milki odległy od wioski, gdzie rodzice Magdusi mieszkali. Podczaszyna rzadko tam bywała. Więc ów nagły wyjazd, owe tajemne rozmowy z panem Stanisławem dawały wiele do myślenia rozkochanéj dziewczynie.

Nazajutrz rano po przyjeździe podczaszyny do Brzozowa cała rodzina Snopkiewiczów przybyła złożyć jéj swój hołd i uszanowanie, ale jak to mówią nie z próżnemi rękoma, albowiem przybyły z nimi kosze wybornych owoców, plastry świeżego miodu, słoiki konfitur, kurczęta i inne wiejskie delicyje. Podczaszyna przyjęła te ofiary ze znaną swoją dobrocią i uprzejmością, że zaś pamiętała również o przychylnéj sobie rodzinie, więc każdemu z jéj członków stósowny podarek przywiozła z Warszawy. Obie strony były zarówno uszczęśliwione, lecz mianowicie ojciec, matka i bracia nieposiadali się z radości gdy nadbiegła Magdusia śliczna, wesoła i zdrowa jak rybka. Po długich uściskaniach, łzach tajemnie otartych i wykrzyknikach, głos zabrała podczaszyna, wychwalając jej łagodność, rozsądek, dobre sprawowanie się, które to pochwały dziewczynie i tak już rumianéj od mocnych całusów, jeszcze większego napędziły rumieńca. Pani Snopkiewiczowa przypatrując się eleganckiemu strojowi Magdusi, z wielkiém swém zadowoleniem powiedziała na głos, że jeszcze nigdy nie widziała ją tak ładną. — Co prawda, to nie grzech — wtrącił ojciec — wyładniałaś mi waszeć o sto procent.

— O, że ładne dziewcze, to niema wątpliwości, odezwał się przy drzwiach głos, który ją przeszył do głębi duszy, był to głos wchodzącego pana Stanisława.

W téj chwili przez drzwi otwarte do sieni, postrzeżono młodego chłopaka, który nieśmiało zaglądał

i znowu się chował — był to ów Michaś studencik. Jako przyczepka towarzyszył rodzinie Snopkiewiczów, lecz odwaga odbiegła go w sieni. — Podczaszyna postrzegłszy chłopaka, zaprosiła pięknie i ośmieliła. — On też czapeczkę miętosząc w ręku, oddał niezgrabny ukłon. — Michaś przyszedł cię także zobaczyć, — rzekła pani Snopkiewiczowa — podziękujże mu Magdusiu. — Toś nie zapomniał o mnie? — mówiła dziewczyna podając mu rękę — póki życia nie zapomnę — odrzekł po cichu, cały drżący i zarumieniony, poczém zakręcił się ku drzwiom i jak kot z pęcherzem zmywał przez rowy i płoty.

Po oddaleniu się Snopkiewiczów, Magdusia sama jedna przechodziła się po szpalerowéj ulicy, powtarzając do siebie półgłosem: więc on powiada żem ładna? — cóż jemu do tego? — jaka śmiałość nazywać kogoś ładnym w obec wszystkich? — ja nie mam odwagi w oczy mu spojrzyć, a on z najzimniejszą krwią powiada żem piękna? Zdaje mi się, że powiedzieć dziewczynie: piękna jesteś, wychodzi prawie na jedno co zrobić wyznanie.....

Nad tą myślą zastanowiła się Magdusia i zaczęła głęboko roztrząsać, co to jest wyznanie miłości, albo oświadczenie się. Wiele już o tém słyszała, a jednak rzetelnie nie mogła zdać sobie jasnéj sprawy. Czy dość powiedzieć dwa słowa: kocham ciebie? — I toż miałoby oświadczenie stanowić? Dwa proste słowa i nic więcéj? — Magdusi zdawało się, że oświadczenie uroczystsze być musi, że do tego potrzebna jakaś tajemnica, jakiś osobny język, jakieś czary pełne niebezpieczeństw i uroku. Biedaczka, zkądże mogła wiedzieć, kiedy w życiu nie czytała żadnego romansu, prócz kilku kartek poszarpanéj Magellony.

Porównywając pamięcią każde słowo, każde znalezienie się pana Stanisława względem niéj, nie mogła przypuścić, żeby jéj uczuciem gardził, lecz się na niém nie poznawał. Cóż na to robić? Nieraz poddawała się losowi, to znowu wpadała w niecierpliwość. Najobojętniejsze zdarzenia stawały się dla niéj powodem do wielkiéj radości lub zmartwienia. Grzeczne słówko, lub chwilowe spojrzenie Stanisława upajało ją szczęściem na cały dzień; przeciwnie, jeżeli przechodząc przez pokój nawet na nią nie spojrzał, jeżeli idąc spać nawet jéj głową nie kiwnął, jeżeli mu coś podawała a nie przyjął, zaraz biedziła się po całych nocach dochodząc przyczyny, w czém zarobiła na jego niechęć.

Były znowu dnie, gdzie wpadała w zwątpienie o swojéj piękności; upatrywała w sobie zmianę, albo co gorzéj, rozbierając każdy rys, chciała mieć nosek dłuższy i równiejszy, oczy większe, brwi bardziéj łuczaste. Innego znowu razu budziła się w niéj pycha niewieścia; stojąc przed zwierciadłem, wzruszała tylko ramionami, dziwiąc się obojętności pana Stanisława. Wpadłszy w stan rozpaczy i rozczarowania, burzyła gładko uczesane włosy, mięła czepeczek i kołnierzyk, ubierała się w najbrzydszą suknię; znowu kiedy nagle duch podobania się zawiał, bez przyczyny stroiła się w suknie świąteczne i chciała być piękną na przekór zawistnemu losowi.

Przepraszam czytelnika za tyle różnych drobnostek dziecinnych, lecz trudno opowiadać inaczéj, kiedy bohaterka moja była dzieckiem. Pewnego dnia podczaszyna była zaproszona na obiad w sąsiedztwo; pan Stanisław i Magdusia towarzyszyli jéj. Jak zwykle u nas, obiad był późno, potém kawa, więc już pod wieczór wracano do Brzozowa. Magdusia z podczaszyną zajmowały głąb powozu; pan Stanisław siedząc na przodzie, z początku ożywiał rozmowę, lecz w końcu oparł głowę i zdrzymał się. Podczaszyna poszła za jego przykładem. Wieczór był cokolwiek chłodny, rozłożono zatém salopę, która przykrywała Magdusię i podczaszynę. Pierwsza wcisnąwszy się w kącik, siedziała cicho, nie usypiając bynajmniéj, owszem pełna niespokojności, czy pan Stanisław usnął lub nie. Jeżeli czasami promyk księżyca wcisnął się do powozu, odważyła się zakaszleć lekko; lecz pan Stanisław był nieruchomy. Po chwili wychyliła głowę i spojrzała na pole; myśl o długiéj podróży ma tyle podobieństwa z myślą o długiéj miłości, iż widząc blask księżyca i szerokie pola, zapomniała, że podróż niebawem się skończy, i przymknąwszy oczy, zaczęła marzyć, że tak z panem Stanisławem podróżuje za granicę, gdzie do Włoch lub Szwajcaryi; to marzenie tyle innych słodszych napędziło marzeń, iż dała się im porwać zupełnie, i przymknąwszy powieki, aby nic nie spłoszyło marzenia, zdrzymała się na dobre. Niechcący, bo przez sen, wyciągnęła nogę i oparła ją o siedzenie na przodzie; przypadek zrządził, że mała jéj nóżka oparła się jak raz na ręce pana Stanisława, który zdawał się nieczuć tego; przeciwnie Magdusia zbudziła się nagle, i usunęła nogę. Zdarzenie to nasunęło jéj tysiąc myśli; jakąż lekkomyślność popełniłam! mówiła w duchu — czy się postrzegł na tém? czy śpi? czy udaje? — Jeżeli spostrzegł, dla czegóż ręki nie usunął? Jeżeli śpi, dla czegoż się nie zbudził? Może mną pogardza i niechce nawet okazać że czuł moje dotknięcie; może mu to przyjemność sprawiło i czeka drugi raz na to samo? Nic w tém przyjemnego niema, aby ktoś deptał po ręku, chyba je-

żeli cię to spotka z osobą którą kochasz. — Tak rozmyślając, lekuchno usuwała nogę drżącą jak listek i usuwając, znowu go dotknęła.... Nigdy jéj serce nie zabiło tak gwałtownie; miała się za zgubioną, wyobrażając sobie, że błędu tego niczém niezdoła naprawić. — Ach! cóż on pomyśli o mnie! Jaką poweźmie opinię? Nigdy nie odważę się spojrzyć mu w oczy. Jakżeż go przekonam, że to się stało przypadkiem? Nigdy mi nie uwierzy. Będzie ze mnie żartował, opowiadał każdemu, nawet i matce swojéj; matka to powie ojcu; i już mi nigdzie niepokazać oczu. Gdzież się podzieję? Co ze sobą zrobię? Niepozostaje mi jak wyjść z domu podczaszyny! — Na tę myśl zadrzała. Szukała środków usprawiedliwienia się; chciała list pisać i wręczyć tajemnie panu Stanisławowi, list dowodzący jéj niewinności.... Lecz jeżeli on nieśpi — pomyślała — jeżeli odgaduje moję miłość? jeżeli jutro pierwszy zacznie o tém mówić? jeźli mi powie, że dzieli moje uczucie? jeźli się oświadczy...?

W tém powóz zatrzymał się przed gankiem brzozowskiego dworu. Pan Stanisław, który spał jak zabity, dopiero się przebudził, ziewając i przecierając oczy. Lokaj otworzył drzwiczki od powozu. — Co to? — zapytał pan Stanisław — czyśmy już w domu? — W domu panie! — odpowiedział służący. — Anim wiedział jakeśmy zajechali — odrzekł i wysiadł. — Po tém smutném odkryciu spełzły wszystkie rojenia i niepokoje Magdusi, i kiedy jéj rękę podawał do wysiadania, postrzegła niestety! że odbywała podróż samotną.

VI.

Nazajutrz uderzyło Magdusię, że pan Stanisław zwyczajem swoim nieposzedł na polowanie, i że w ubiorze jego było więcéj staranności i elegancyi niż codzień. Po obiedzie syn wziąwszy matkę pod ramię, wyszedł z nią za bramę na gościniec; rozmawiali coś żywo i zdawali się być niespokojni. Magdusia śledząc ich ruchy przez okno, postrzegła gościńcem pędzący czworokonny pojazd. Pan Stanisław znalazł się przy pojeździe, otworzył drzwiczki i podał rękę podeszłéj damie, a następnie dziewiętnastoletniéj pannie, pięknéj i hożéj jak poranek majowy. Podczaszyna przyjęła gości z wielkiemi oznakami ukontentowania, i prawie miejsca nie umiejąc im znaleść. Zaraz ustąpiono im najlepsze pokoje we dworcu, gdzie znoszono tłomoki i pudełka. Skoro przyjezdne panie zajęły miejsce na kanapie i wszczęły rozmowę, podczaszyna dała znak Magdusi żeby wyszła, co biedne dziewcze bardzo niechętnie uczyniło, przeczuwając złowróżbą przyszłość z przybyciem tych obcych osób.

Magdusia wahała się nazajutrz czy ma zejść na dół w godzinie obiadowéj lub nie, gdy podczaszyna sama przyszła po nią i przedstawiła pani kasztelanowéj i jéj córce pannie Taidzie. Gdy dano do stołu, a wszyscy usiedli, postrzegła Magdusia że jéj miejsce obok pana Stanisława zajęła panna Taida, i że sąsiad nie spuszczał prawie z niéj oka. Magdusia przez cały obiad nie przemówiła i słowa, a kiedy podawała talerz brzoskwin panu Stanisławowi, które tak lubił, ani się postrzegł prawie kto mu podawał, i tylko obojętną ręką sięgnął po owoc. Po obiedzie wszyscy wynieśli się do ogrodu; podczaszyna podała ramię kasztelanowéj, pan Stanisław pannie Taidzie; Magdusia nie mając pary, szła ostatnia, i nikt ani myślał o niéj, ani zagadał. Smutna wróciła do siebie. Wieczorem proszono panny Taidy aby usiadła do fortepianu i zaśpiewała; prześlicznie śpiewana aryja z jakiéjś włoskiéj opery wprawiła słuchaczy w zachwycenie. Magdusia słysząc ją, z boleścią wspomniała na dom swych rodziców, gdzie jéj piosneczki przy wtórze gitary, wprawiały wszystkich w zachwycenie i szeroko słynęły w okolicy. Teraz nie spytano jéj nawet czy umie śpiewać lub nie. Dnia tego tyle doznała przykrości, taki smutek ogarnął młode jéj serce, że całą noc spędziła bezsennie.

Jaki interes sprowadził tych gości, jak długo bawić będą w Brzozowie, były to zagadki trudne dla niéj do rozwiązania; domyślała się tylko, że ich przybycie miało związek z owemi tajemniczemi rozmowami matki ze synem. Przeczuwała nieboga, że całe jéj szczęście mieściło się w téj tajemnicy. Z razu mniemała, że to jakie kuzynki; lecz znowu, zacóż im okazywano tyle przyjaźni i tyle uprzedzającéj grzeczności? Podczaszyna w czasie przechadzki pokazywała kasztelanowéj obszar swych gruntów, wyliczała dochody, czyliżby zamyślała sprzedać Brzozów? Lecz jakiżby powód miała sprzedawać tę majętność od niepamiętnych czasów zostające w ręku jéj familii? Z resztą kasztelanowa i jéj córka ciągle mówiły o stolicy, o wielkim świecie, a takie osoby nierade przebywać w zaciszu wiejskiém. Raz przy obiedzie kasztelanowa wspominała, że jest damą honorową, że ma wpływ u dworu; kto wie, może przez nią stara się podczaszyna o awans dla pana Stanisława? w takim razie łatwo sobie wytłumaczyć powód owych nadskakiwań i uprzedzających grzeczności. Tego rodzaju były wnioski Magdusi; lecz umysł jéj mimo całéj chęci nie zaspokajał się niémi, a serce niedopuszczało schwycić najpodobniejszą i rzeczywistą prawdę.

VII.

Szczególna i dziwna rzecz, iż w sprawach tego świata najbardziéj oszukują się ci, których te sprawy najbardziéj obchodzą. Widząc zabiegi pana Stanisława około panny Taidy, człowiek najobojętniejszy i najobciejszy byłby odgadł co się między nimi święci. Tymczasem Magdusia nie poznawała się na tém, a może téż i niechciała się poznać. Mimo zmartwienia jakiego ztąd doznawała, uczucie nieodgadnione, któremu mało kto uwierzy, przeszkadzało jéj przekonać się o prawdzie; pod tém uczuciem rozumiem ową wysoką admiracyję, jaką Magdusia powzięła dla panny Taidy.

Panna Taida była słuszną blondynką, pełną uroku i dziwnie ujmującą. W spojrzeniu jéj i w mowie rozlewał się spokój tak słodki, że niepodobna było się oprzeć jéj widokowi. Po kilku dniach pobytu okazała wiele przyjaźni Magdusi; pierwsza nawet zbliżyła się do niéj. Zastawszy ją przy krosienkach, pokazała jéj kilka nowych ściegów i różnych haftów; na przechadzce brała ją pod ramię i uczyła się od niéj piosnek wiejskich. Te dowody życzliwości tém więcéj wzruszały Magdusię, gdyż miała serce głęboko zranione. Od wielu dni zapomniana od wszystkich, błąkała się po domu jak owca, dopiero pierwsza Taida zbliżyła się do niéj i przemówiła słowo. Widząc się zaniedbaną przez pana Stanisława, uczuła w tym postępku swojéj rywalki dziwną jakąś rozkosz na pół z goryczą; schlebiało jéj, że tak piękna i znakomita osoba podniosła ją ku sobie, i zamiast wzniecić zazdrość, za pierwszém przemówieniem oczarowała. Zapoznawszy się bliżéj i podufaléj z panną Taidą, rozkochała się w niéj jak w czemsiś nadziemskiém. Każdy jéj ruch, każde słowo, aż do stroju, wszystko było przedmiotem zachwycenia dla biednéj Magdusi. Codziennie rano przybiegała do pokoju panny Taidy powiedzieć jéj dzień dobry; spytać czy czego nie potrzebuje i każdą jéj chęć zgadywać; gdy ją zastała przy gotowalni, pomagała jéj ubierać się, dobierając wstążek i kwiatów, któreby harmoniowały z twarzą i strojem. Nadewszystko zaś lubowała się w jéj piosenkach włoskich; szczęśliwa, jeżeli zatrzymała jaką nutę, powtarzała ją nieustannie, choć nie na głos, to w myśli. A jednak wśród tych drobnych roztargnień i przyjemności, pożerał ją wewnętrzny smutek, i byle samotną się znalazła, zaraz łzy puszczały się strumieniem.

Podczaszyna, jak wiemy, osoba umysłu lekkiego, niezastanawiała się nad nagłą zmianą w Magdusi, a jednak mówiła nieraz: co tobie moje dziecko, zdajesz mi się taka blada, czyś nie dobrze spała? — I nie czekając odpowiedzi, wpadała w inny przedmiot. Pan Stanisław przenikliwsze miał oko, i kiedy mu przychodziła chwila zastanowienia się, odgadywał powód smutku i zmiany w Magdusi; wszakże tłumaczył to sobie jako kaprys dziecięcy, jako zazdrość zwykłą między kobietami, jako małą skłonność, którą czas zgasi. Magdusia zresztą unikała wszelkiéj sposobności spotkania się z nim sam na sam, i zawsze, ilekroć postrzegła go zdaleka, a była sama jedna w ogrodzie lub pokoju, zaraz wracała się lub wychodziła; tak dalece, że pan Stanisław widząc tę jéj ostrożność nadzwyczajną w ukrywaniu swéj skłonności, posądzał ją raczéj o dzikość charakteru niż zalotność. — Osobliwa dziewczyna — mówił nieraz do siebie, gdy ją widział uciekającą przed nim; i nieraz na przekór umyślnie za nią gonił i zaczepiał. Wtedy spuszczała w ziemię oczy, odpowiadała po słówku i stulała listeczki, jak ów kwiatek zwany czułostką.

Dnie upływały w nudnéj jednostajności; ani grano, ani wyjeżdżano; ani bawiono się, tylko jak boży czas szepty jakieś i narady, w ciągu których podczaszyna po kilka razy dawała Magdusi do zrozumienia, że jest niepotrzebną w pokoju. Jeżeli niekiedy weszła do salonu niespodziewanie, zaraz rozmowa ucinała się, i obie matki dawały sobie jakieś znaki tajemne; przeciwnie, gdy ją przywoływano po tych skrytych naradach, usiadała, nie śmiejąc ócz podnieść i tak niespokojność nią miotała, jak kiedy przeczuwamy wielką burzę.

(Dokończenie nastąpi.)

Jana Chrzciciela Seja

niektóre spostrzeżenia nad ludzkością i społeczeństwem.

Umieć cenić zalety innych, jest to, w ich oczach, mieć największy rozum. Mylę się, można podług nich być jeszcze rozumniejszym, przyznając im nie rzeczywiste jakie mają zalety; ale te, do których sobie roszczą pretensyą. I nawzajem, największym nierozumem w ich oczach jest wytykać im śmieszne pretensye.

Są ludzie wysokich częstokroć zdolności, którzy mają upodobanie tylko w towarzystwie niższych od siebie pod tym względem osób,! aby tém dobitniéj swą wyższość okazali. Co to za zła rachuba! Naj-

wznioślejszy umysł musi pośledniec pomiędzy głupimi; pomiędzy światłymi kształci się i zaprawia przyjemnym dowcipem.

W postępowaniu z młodzieżą zwykliśmy przybierać ton protekcyjny, dawać jéj rady, których pragniemy widzieć pomyślne skutki, i spodziewać się, że nam kiedyś będzie wdzięczną. Przeciwnie, w ludziach skończonych widzimy zwykle spółzawodników, a bardzo często nieprzyjaciół. Tak odmiennie postępując, zapominamy, że życzliwość zniewala do życzliwości, i że, gdybyśmy nawet mieli znaleść niewdzięczników, niepoślednią jest chlubą, zasłużyć sobie na niewdzięczność.

Jest pomiędzy ludźmi pewien rodzaj solidarności, która sprawia ten skutek, iż jako cząstki społeczeństw ludzkich, czujemy w sobie albo podnoszącą dumę albo poniżający wstyd. Czuł to dobrze Montekukuli, godny współzawodnik Turenniusza, kiedy dowiedziawszy się o śmierci tego obywatela — wojownika, wyrzekł: Czynił on zaszczyt człowiekowi. Czyż nie można powiedzieć o wielu innych, iż są hańbą ludzkości? — Solidarność pomiędzy ludźmi jest jeszcze ściślejsza, kiedy się odnosi nie do całéj ludzkości, ale tylko do pojedyńczego narodu. Przymiot szczególny jakiego narodu wbija niezmiernie w dumę narodową; ale nierównie bardziéj upokarza przywara jednemu tylko właściwa narodowi.

Jest pewien kraj zamorski, (Anglia), w oczach którego wszelkie bezprawie znajduje usprawiedliwienie, byle tylko wypadało na jego korzyść. Czy takie postępowanie jest uczciwém od postępowania samoluba, który się zwykł usprawiedliwiać: Co chcecie odemnie? wszystko co robię, nie robię w żadnéj złéj myśli; ale tylko w moim interesie.

Czy myślisz, Milordzie, że pycha angielska jest nierównie znośniejsza jak chełpliwość francuzka?

Wszyscy ludzie są sobie z przyrodzenia podobni; lecz charaktery ich objawiają się rozmaicie. Dziki okazuje swą próżność, bądź mażąc sobie twarz i całe ciało niestartemi farbami, bądź zatykając na głowie i plecach różnokolorowe pióra. Włoch stroi się od stóp do głów w galony. Anglik i Turek wystrzegają się wszystkiego, co im się zdaje z ujmą ich godności narodowéj; jeden i drugi nadyma się i udaje poważnego, a nadewszystko unika podejrzenia, jakoby mógł potrzebować czyjego wsparcia lub jakiéjkolwiek przysługi. Anglicy dumni są z bardzo wielu rzeczy: niezmiernego długu narodowego, chociaż ten nie stanowi ich szczęścia, ani nie przynosi im zaszczytu; z mnóstwa potępionych przez nich co rok zbrodniarzy, z wypróżnianych co dzień kuflów piwa i zjadanych bifsztyków. Mają oni o wszystkich cudzoziemcach niekorzystne wyobrażenie i z tém się wcale nie tają; co tylko u tych ostatnich może być godnego pochwały lub uwagi, jest przynajmniéj daleko niższém od tego, co się już u nich w tym względzie znajduje; na znak pogardy zachowują milczenie, chodzą tylko wolnym krokiem, i nie zważają na nic, co się około nich dzieje. Próżność Francuza nie jest tak wyłączna. Daleki chęci poniżania innych ludzi, lubi on przechwalać się ze swéj rzeczywistéj, a czasem nawet i z mniemanéj tylko wyższości; lecz jeżeli go kto o samolubstwo przekona, gotów się śmiać sam z siebie, byleby do poniżenia go nikt nie brał ztąd pochopu. Oddaj tylko sprawiedliwość jego waleczności, a wszystko ci przebaczy.

Okolice wiejskie są prawdziwie rozkoszne w Anglii; mieszkania tam schludne i starannie utrzymywane, ogrody obszerne, drzewa piękne, kwiaty prześliczne; a jednak wszystko to razem uważane wygląda smutnie, jak uśmiech stroskanéj osoby. Tak jest, w tym kraju wszystko ma coś posępnego, równie festyny milordów jak zabawy ludu; co mówię? w samych nawet żartach i konceptach angielskich nie ma nic wesołego.

Im naród oświeceńszy, tém bardziéj pielęgnuje wzniosłość umysłu i zamiłowanie sprawiedliwości, a w obrzydzeniu ma junakeryą. Jakoż dzicy tylko, siłą fizyczną lub bronią wszelki spór roztrzygać najbardziéj lubią, a najmniéj rozumem rządzić się zwykli.

Już oddawna mocno się nad tém zastanawiam: kto śmiechu godniejszy: czy głupiec z różańcem w ręku, udający świętego; czy kupiec korzenny w bermycy i z przyprawionémi wąsami, udający sapera?

Pomiędzy dzieckiem bawiącém się bębenkiem który mu ojciec kupił na jarmarku, a oficerem paradującym w świeżo otrzymanych szlifach i brząkającym umyślnie pałaszem po bruku, różnica nie jest tak wielka jak się nie jednemu zdaje.

W walce byków z brytanami, wypuszczony brytan rzuca się, za danym sobie znakiem, na swego przeciwnika, który mu nic złego nie zrobił; kaléczy

go i pełen ukontentowania wraca po nagrodę z zakrwawioną paszczą. Wyjąwszy, że brytan nie chodzi na dwóch łapach i nie włóczy szabli u boku, jaka jest z resztą różnica między nim a wojskowym z rzemiosła? Nie mówię tu — broń Boże! — o żołnierzu; ten nieszczęśliwy, idzie na wojnę zwykle mimo woli, i jeżeli przeciwnika trupem nie położy, sam zostanie zabity. Ja tu chcę mówić o wyższych stopni oficerze, a właściwie o wodzu, który się może z domu nie ruszyć i nie wziąść żadnego udziału w niesprawiedliwéj wojnie. — To moje rzemiosło, odpowie jaki jenerał albo feld-marszałek; jeżeli drugich zabijam, to także narażam własne życie. — Ach godny politowania człowiecze! czyż nieuważasz, iż to samo może powiedzieć na swoję obronę rabuś rozbijający po gościńcach.

Mam tu na myśli jedynie wojny, które wywołuje ambicya lub fałszywa polityka. Wojna albowiem wywołana przez obcą napaść jest równą koniecznością, jak zadanie śmiertelnego ciosu rozbójnikowi w chwili, kiedy ten zachodzi drogę podróżnemu i woła: Oddaj pieniądze, albo ci w łeb palę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Wiadomości z Paryża. — Paryska saison rozpoczyna się teraz w Styczniu. Wszystkie teatry, począwszy od akademii muzycznéj, aż do najmniejszych widowisk, puszczają teraz swoje wodotryski. Ubiegają się między sobą doniesieniami nowych sztuk i zabaw, które są napisane li na tę porę i przedrwiwają rok przeszły. Tak niedawno figiel jeden o mało co nie przypłacił życiem pewien aktor. Komik Leclerc wystawiał żywe wcielenie (incarnation) bawełny strzelniczéj i w tym celu owinął się od stóp do głowy w bawełnę. Potarł następnie zapałkę o rękaw, która nietylko zapaliła się, ale też zajęła ogniem całego aktora; w okamgnieniu stanął cały w płomieniu i gdyby go otaczający aktorowie nie byli przykryli płaszczami, byłby go spotkał los Karola VI., który na pewnéj maskaradzie ledwie się żywo nie upiekł i postradał rozum z przerażenia. Ale szczęściem aktor przytomniejszy uchronił się za pomocą towarzyszów od niebezpieczeństwa i wystąpił z śmiechem na twarzy przed publicznością, tak że sztuka przerwy nie doznała. Mimo to odmalował się przestrach przez chwilę na publiczności. — Chwilowym cudem nazywają teraz teatr Aleksandra Dumas. Kiedy ten peripatetyczny briareusz literatury pisze powieści, sztuki dramatyczne, feletony i t. d. z szybkością machiny parowéj, kiedy przebiega chyżym lotem Hiszpanią, Algier, Tunis, tymczasem kończą jego teatr na bulewarach z niezmiernym kosztem. Wydatki tak są wielkie, że paryżanie z tego powodu dowcip ułożyli. Wiadomą jest rzeczą, iż Dumas ma za protektora królewicza Montpensiera, z tego powodu nazwał on nowy teatr „Le théâtre de Montpensier“, a lud woła „le théâtre Dépensier“ i w rzeczy saméj wydatki są niezmierne na tę budowę, że jednę tu przytoczymy np. okoliczność, iż dla wysuszenia murów zimą stawianych, wynaleziono machinę, która pompuje wilgoć i osusza mury. Posągów, pozłacań, płaskorzeźb, obrazów, i t. d. jest tam bez liku, tak iż hrabia de Monte Christo mógłby tam zamieszkać. Cuda zaś dramatyczne, mają jeszcze o wiele przewyższać architekturę, malarstwo i snycerstwo. Teraz nazwano urzędownie ten teatr „théâtre historique.“

— Palenie wodą. W towarzystwie jedném rozmawiano, że przyjdzie czas, gdzie zabraknie drzewa i węgli kamiennych do palenia, z powodu niezmiernie pomnażających się potrzeb we fabrykach i po kolejach żelaznych, nato odpowiedział obecny temu sławny chemik Sir Humphrey Dawy, że nie obawia się bynajmniéj tego niedostatku, który prędzéj czy późniéj z pewnością nastąpi, gdyż tymczasem umiejętność znajdzie środki i sposoby do zapobieżenia temu niedostatkowi, gdy nauczać będzie, jak należy używać wody za paliwo. Jakkolwiek wydaje się to zdanie niewtajemniczonym w umiejętności bajeczném, jednak wykonanie jego jest pewném. Woda jest zbiorem wodorodu i kwasorodu, dwóch rodzai gazów, bez których niemożnaby dokonać spalenia czegokolwiek. Tak n. p. gaz do oświecania jest składem węgliku i wodorodu, które w połączeniu z kwasorodem z powietrza zradza ciepło. Chodzi przeto, aby mieć ciepło i światło według upodobania z wody, o rozłożenie jéj na pierwiastki i o połączenie ich według potrzeby z węglikiem. Nietylko na drodze umiejętnéj dowiedziono tego, ale nawet doświadczeniami wielorakiemi stwierdzono, i można z pewnością spodziewać się w krótkim czasie urzeczywiszczenia téj idei na wielkie rozmiary, przezco daleko większe zmiany nastąpią we wszystkich gałęziach przemysłowości, aniżeli dotąd osiągnięto za pomocą pary. Już belgijski chemik Jobard wydobył z wody światło dwa razy silniejsze, anizeli zwyczajny gaz z węgli. Odkrycie to uskutecznił Jobard w roku 1833., komissye umiejętności w Belgii i Francyi przeświadczyły się o jego pożyteczności i po-

chwaliły ten wynalazek tak pod względem taniości, jako też siły światła. W Bulletin du Musée d'Industrie wyłożył jasno swój wynalazek i oddał go na pożytek publiczny. W skutek tego zaprowadzono jego światło po wielu fabrykach w St. Etienne, Dijon, Strazburgu, Lugdunie i Paryżu, nawet w Londynie i Dublinie. Swój pamiętnik o tym wynalazku kończy temi słowy: „postępowanie to ma zapewne wartość, bo się zasadza na wodzie, pierwiastku bez wartości i na koaksie, pierwiastku małéj wartości i na jednym funcie oleju, który cztery grosze polskie kosztuje, a otrzymujemy światło palące się przez 20 godzin, z siłą równającą się dziesięciu świecom łojowym zapalonym." Aczkolwiek wynalazek Jobarda nierozwięzuje zagadnienia zupełnego i bezpośredniego palenia wody, jakeśmy o tém na wstępie mówili, to jednak uważać go należy za ważny krok na drodze, po któréj się niezawodnie dojdzi do odkrycia, o którém wspomniał Sir Humphrey Davy. Ale i tu nie zatrzyma się duch wynalazków. Bo acz myśl Sir Humphreya Davy zostanie urzeczywiszczoną, nieskończona kopalnia wynalazków jeszcze ma niezliczone siły do odkrycia w wodzie, które w przemysłowości zaledwie po wierzchu tknięte i zastósowane zostały. Faraday obliczył, że pierwiastek kropli wody zawiera w sobie 800,000 nabojów elektrycznéj bateryi, a więc massę siły uśpionéj, która przechodzi wszelkie pojęcie, a gdyby umiejętności udało się zdjąć zaklęcie z tych sił ukrytych i oddać je na posługę człowieka, kilka kropel wody wystarczyłoby na zastąpienie siły najdzielniejszych machin parowych, a za użyciem środków bez wartości dokazywać rzeczy, których teraz nie można nawet dokonać nakładem niezmiernych summ pieniędzy.

MODY.

Paryż, dnia 27. Stycznia 1847.

Podczas przedstawienia Ponsarda, Agniszki Meran, lśnił cały teatr Odeon brylantami i bogatemi toaletami. Wszędzie tylko widziano aksamit, gazę, tiulę, krepy, atłasy. Kapelusiki z małemi obwodami, turbany i stroje na głowy utworzone z blondyn i kwiatów, stanowiły większość, ale widziano też wiele ozdób z koronek srebrzystych i złotych, które naśladowały weneckie. Toczek maleńki mandaryński wyglądał bardzo oryginalnie, podwójny rząd kutasów złotych i perły opadały na około. Młoda dama, która miała na głowie tok podobnego rodzaju, odznaczała się nadto włosami zaczesanemi z chińska i pięciu spłaszczonemi kółkami na skroniach. Lecz taka ryginalność uchodzi tylko w stolicach. Widziano nadto u wielu dam girlandy i t. d. z kwiatów, pomięszane z kamieniami drogiemi. Nawet na naturę rozciąga się zbytek, w téj zimie liście ma brzegi złote lub srebrne, albo też żyłki zaznaczone złotem i srebrem.

Zamiast karték wizytowych przesyłały damy eleganckie w Paryżu na nowy rok kamienie drogie z napisem roku i imienia. Za tym przykładem poszli mężczyzni, i taki się w tym rodzaju zbytek zagnieździł i niejednego wydatków nabawił, że zapewne długo się ta moda nie utrzyma.

Najpiękniejsze opończe balowe podczas téj zimy są opończe zwane Dubarry w stylu Ludwika XV., wodą i koronkami orzucone. Są one z różowego lub niebieskiego atłasu z czarnemi koronkami. Rękawy są dosyć obszerne, kapiszon ślicznie ułożony i tworzy pelerynę ozdobioną koronkami i wstążką. Inna opończa jest taitska, pewien rodzaj małego burnusa, którego kapturek z trzech sztuczek się składa, a rękawy kształt mają orientalny,

Ulubionym strojem balowym jest Camargo-Corset, który niezmiernie talią czyni przeciągłą, zasłania zbyt wystające biodra i nadaje wielką elegancją figurze.

Wieczorne toalety w ogólności wyglądają lekko. W przeszłym roku coraz więcéj spostrzegano sukien jedwabnych, aniżeli z tulu lub krepy. W tym roku zaś rzecz się ma inaczéj; tak zwane prababek toalety tworzą większość. Dla panien i młodych mężatek robią suknie z gładkiéj krepy we fałdy, które się zmniejszają ku przepasce.

Szczególniéj podobają się teraz dłngie szale kaszemirowe, haftowane, bez rębów, a to z powodu pożyteczności, ciepła i wygody.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka krepowa, ozdobiona wstążkami. Suknia jedwabna oszyta sznureczkami z kutasami.
2. Kapelusik aksamitny, oszyty czarną koronką. Jedwabna niebieska sukienka, odzienie wierzchnie sznureczkami ozdobione.
3. Strój głowy z piór. Suknia atłasowa ogarnirowana bertą z czarnych koronek. Szarfa z gronostajów.

Redaktor *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskego i Spółki.*